Przyjaciel Ludu.

Leszno **No. 34.** dnia 25. Lutego 1835.



Pogrzeb u Indyan.

Indyanin szuka w całem życiu spoczynku, i uważa go za największe swe szczęście: śmierć w oczach jego jest przejściem do nieprzerwanéj spokojności, jako najwyższéj nagrody cnotliwego życia. Podobny do rośliny w ogrodzie swoim, rośnie i więdnie na miejscu, gdzie mu Opatrzność urodzić się pozwoliła, i kiedy śmierć we drzwi jego zakołace, rzadko go znajdzie nieprzygotowanego na drogę wieczności, lub zajętego planami na przyszłość, z młodu bowiem powtarzali mu rodzice: „iż lepiéj jest; siedzieć, niż stać; spać, niżeli czuwać; i umrzeć, niżeli żyć.“

Skoro tylko Indyanin umrze, zgromadzają się z całéj okolicy płacznice, których żale drogo rodzina zmarłego opłacać musi. Dom jako uważany był za nieczysty, przy urodzeniu dziecięcia, tak podobnie i przez śmierć nieczystym się staje; ztąd przez rozmaite obrzędy bywa oczyszczanym. Umarłych swych grzebią Indyanie w ziemi lub palą ich zwłoki, podług tego, do jakiéj sekty umarły należał. Jeżeli był z sekty Szywena *) grzebią go w ziemi, jeśli z sekty Wisnu, ciało jego spalone bywa. Ubranego w najkosztowniejsze szaty niosą krewni na miejsce pogrzebu, a braminowie idąc wśród płaczącéj rodziny mo-

*) Indyanie wyznają 3 bóstwa pryncypalne: Brama, który ma moc stwarzania; Wisnu, bóg zachowujący wszystko; i Szywen, któremu dają moc niszczenia wszystkiego. Brama czczony bywa od swych braminów, a Wisnu i Szywen podzielili między siebie ludu bałwochwalstwo.

dlą się, aby bogowie zmazali winy zmarłego. Cmentarze są za miastem, każde pokolenie ma własny, a obrzęd pogrzebu odprawia się w wieczór, gdy zbliżająca się noc przyczynia się do uczynienia ostatniéj ceremonii okazalszą. Żona zmarłego idzie wraz z mężem na śmierć, i żywo się z nim grzebać lub palić każe według przepisów religij.

Od czasu, jak Mahometanie opanowali Indostan, zwyczaj ten został zabroniony, i chyba tylko przez łaskę jakąś szczególną, lub na wstawienie się rządzcy prowincyi pozwalano wdowie składać ostatnie dowody przywiązania swego do męża. Anglicy pomimo starań swoich nie zdołali zupełnie wykorzenić pomiędzy Indyanami zadawnionego zwyczaju, i lubo rzadkie są podobne przypadki, często się jednakże zdarza, iż żona po śmierci męża, sama sobie życia odbiera. P. Henrichs, który przez dziesięć lat bawił w Indyach, opisuje w dzienniku podróży swojéj przykład srogiéj téj ofiary, któréj sam był świadkiem.

W miesiącu Czerwcu 1784 przyszła młoda wdowa wraz z rodziną swoją błagać kommendanta w Tripator na brzegach Koromandelu o pozwolenie, aby się mogła według zwyczaju przodków wraz z mężem spalić. Kommendant zabronił, odwołując się na zakazy rządu, dodając własne uwagi nad barbarzyństwem zwyczaju tego. Oddalili się Indyanie, lecz drugiego dnia przyszli prosić powtórnie z podarunkami dla komendanta, który lubo się z początku opierał, na końcu jednakże zezwolił, mówiąc, iż jest tolerantem, i że nie chce z swéj strony przeszkadzać nikomu w wykonywaniu obowiązków religijnych. Uradowani Indyanie dziękowali ludzkiemu kommendantowi, i oddalili się spiesznie czynić przygotowania do świętego obrzędu.

Wystawiono zwłoki zmarłego na widok ludu przez 3 dni i obok niego siedziała pod daszkiem przystrojonym kwiatami nieszczęsna ofiara. Była to piękna niewiasta, nie mająca więcéj nad 20 lat; przepędziwszy lat kilka szczęśliwie ze zmarłym małżonkiem swoim. Przybrana jak najokazaléj, jakoby na gody weselne, otoczoną była gronem braminów, którzy ją zachęcali do męztwa, wynosząc pod niebiosa zasługę czynu tak wielkiego i miłego bogom. Dwaj bliscy krewni siedzieli u nóg jéj w smutnéj postawie. Muzyka brzmiała z obu stron bangalo, a jeden z fakirów, obwoływał wielkim głosem poświęcenie się, z wiary i miłości małżeńskiéj pochodzące. Śpiewy przeplatane muzyką trwały przez całą noc, a miasto było oświecone. Wdowa schroniła się wieczorem do domu; ale nikt z przytomnych nie odchodził oczekując wraz z jutrzenką powrotu wiernéj małżonki.

Z wschodem słońca powracała wdowa do zwłok męża, przez 2 dni nie pokazując żadnego znaku smutku; postawa jéj była spokojna, a piękne jéj oko zdawało się być wypogodzone. Trzeciego dnia dopiero spojrzenie jéj było obłąkane i smutne, twarz blada, malująca radość z pomieszaniem; od południa powróciła do domu swego, muzyka brzmiała głośniéj, a wszystkie miejsca były zapełnione ciekawymi, którzy na pogrzeb czekali. Ku wieczorowi, pod cieniem nocy przy blasku pochodni, zaczęła poruszać się processya ku cmentarzowi. Na czele jéj szła muzyka, następowały płacznice z nachylonemi głowami: ciało zmarłego przybrane w kosztowne suknie niesiono na marach wśród długiego szeregu braminów: za niém szła wdowa zmarłego jak najokazaléj przybrana, i otoczona sześciu najstarszymi braminami, którzy nie przestawali jéj zachęcać, wynosić pochwałami, i opisywać, nagrodę, która ją czeka.

Postać nieszczęśliwéj nie wzbudzała równego jak dawniéj uczucia: oko jéj dzikie, twarz blada i zmieniona, usta otwarte i sine okazywały, iż opium zadane odurzenie jéj sprawiało: nogi jéj chwiać się zaczęły tak, iż przez krewnych w białe szaty przybranych, (kolor bowiem biały jest u Indyan oznakiem żałoby, jak dotąd u Wendów) prowadzoną być musiała. Stan ten nieprzytomności zdawał się powiększać, im bardziéj zbliżano się do przygotowanego stósu. Złożono na nim ciało zmarłego, i czyniono niektóre obrzędy na cześć Yamen, boga śmierci, a gdy się skończyły, nieszczęśliwa ofiara zaczęła zdejmować z szyi i rąk klejnoty, zasłoniła twarz włosami, przyjmowała ostateczne pożegnania krewnych i przyjaciół bez przytomności, a dwaj braminowie wzięli ją za ręce, i okrążyli z nią stos trzy razy, z okrzykami radosnemi wszystkich przytomnych, a krewni podpalili stós. Jak tylko nieszczęśliwa ujrzała wznoszący się płomień ocknęła jakoby ze snu, zaczęła postępować spiesznie, a wyrwawszy się z rąk kapłanów, wskoczyła w płomień na zwłoki swego małżonka. Niewypowiedziane okrzyki i brzmiąca muzyka napełniły powietrze. Krewni rzucali na ogień małe wiązki suchego drzewa i

naczynia z tłustością i olejem, aby ogień gwałtowniejszym uczynić, braminowie zaś dopomagali ożogami roznieceniu ognia. Gdy ciała obydwóch osób spłoną płomieniem, zbierają popioły bramińowie, i chowają w urny, na miejscu, gdzie stał stós, a kolumna wystawiona na témże miejscu przypomina przechodniom heroiczny czyn żony. Pomiędzy narodami sławiańskiemi miał według świadectwa pisarzy ten sam zwyczaj panować, a najdłużéj utrzymywać się pomiędzy Wendami. *)

Podobny był obrzęd przy zakopaniu niewiasty wraz mężem, jeżeli ten do sekty Szywena należał. Zwłoki męża składano w obszerny wykopany grób, a małżonka wskakiwała doń sama; krewni przysypywali ją ziemią.

Zwyczaj tak okropny, za rozszerzeniem się w Indyach Chrześciaństwa ustał, jednakże są przykłady, iż po śmierci męża żony się zabijają. W roku 1812 spalono z zwłokámi mężów zmarłych wprzeciągu dwóch miesięcy 70 wdów, które 184 sierót zostawiły.

Tum w Poznaniu.

Gdy Polska za staraniem Mieczysława I. i żony jego Dąbrówski **) światło wiary ś. przyjęła, zaczęły się wznosić na gruzach poburzonych kościołów pogańskich, świątynie prawdziwego Boga. Sprowadził gorliwy król dla ugruntowania w świeżo nawróconym kraju przyjętéj wiary kapłanów z Włoch i Niemiec: założył w tym celu, jak świadczą najdawniejsi dziejów polskich pisarze, dziewięć kościołów, po różnych państwa miastach, w Gnieznie, w Krakowie, w Poznaniu, w Kruświcy, zkąd potém do Wrocławka, pod imieniem katedry był przeniesiony: w Smogrze, który naprzód do Byczyny, potém do Wrocławia przeszedł; w Płocku, w Chełmnie, w Kaminie i w Lubaszu. Ufundowane te kościoły opatrzył król z małżonką potrzebnemi do obrządków religijnych sprzętami, i dostatecznemi dochodami na utrzymanie sług kościoła. Zesłany od Papieża Jana XIII, Idzi (Aegidius) kardynał, biskup tuskalański, urządził rozpoczęte od Mieczysława dzieło. Długosz pisze, iż każdy z założonych kościołów miał szczególne od Kardynała listy i przywileje, sobie na piśmie nadane: lecz te starożytne, a do wywodu dawności i opatrzenia funduszów potrzebne pisma, bądź niedbałym onych strzeżeniem zaginęły, bądź częstemi w Polsce, gdzie nie wiele w ów czas było murowanych gmachów, pożarami spłonęły. Ztąd też najlepiéj da się wytłumaczyć sprzeczność w pismach pierwszych naszych historyków zachodząca, którzy z archiwów zagubionych czerpać nie mogli, lecz podania tylko zbierali.

Biskupstwo Poznańskie należy do najdawniejszych w Polsce. Gdy miasto Poznań pierwszą miało posadę na prawym brzegu Warty, i za panowania Przemysława na lewy brzeg dopiero przeniesioném zostało; w téj także najdawniejszéj części wzniesiono kościół pod tytułem SS. Piotra i Pawła. Pierwszym biskupem wspominają dzieje Jordana z rodziny Ursinów: sześciu następców jego było Włochów, pierwszy Polak Wawrzyniec I., z grona kanoników poznańskich jednomyślnie obrany, osiadł na biskupiéj stolicy († 1127). Dzieje kościoła milczą o pierwszym Tumie, ani go opisują; jednak są świadectwa, iż biskupi poznańscy wraz z kapitułą znaczne na reparacye i ozdoby katedralnego kościoła łożyli summy. Jan Lubrański roku 1498 Biskupem obrany, zastał Tum poznański w podupadłym stanie, mury starością zwątlone w wielu miejscach, groziły niebezpieczeństwem; gorliwy pasterz nie szczędził żadnych ofiar, aby tę bazylikę do dawnéj przyprowadzić świetności. Nie tylko zaś zamiar swój przywiódł do skutku, lecz nadto ozdobił świątynię trzema od wschodu wzniesionemi wieżami. W roku 1622 spłonął Tum z znaczną częścią miasta wielkim pożarem. Andrzéj Szółdrski wyniesiony na stolicę biskupią w roku 1636 zastał jeszcze gołe i osłabione mury; rozmaite bowiem przeszkody niepozwoliły poprzednikom jego, co najwięcéj w Warszawie, na dworze królów bawili, podnieść z gruzów zniszczonéj katedry. Szółdrski, pasterz dobroczynny i troskliwy, hojną ręką przez lat 14 przykładał się do budowy nowego kościoła, i cieszył się przy schyłku życia, widząc, fundamenta wzmocnione, utwierdzone mury, posadzkę marmurową, dach wzgórni i pięć wież miedzią pokrytych. Nie doczekał się jednak ukończenia zaczętego dzieła († 1650); lecz pragnąc, aby postanowienia jego przywiedzione były do skutku, na wewnętrzne świątyni ozdoby, organy, na wystawienie wielkiego ołtarza, stal dla Kanoników, kaplicy swego imienia, znaczne sum-

*) Hartknoch diss. 13. rer. prus. t. 6.

**) Zob. Przyjaciela ludu N. 12. p. 91.



Tum stary w Poznaniu.

my testamentem wyznaczył i zabezpieczył, srebra i naczynia do obrzędów świętych kosztowne, zakrystyj biskupiéj zapisał.

Następca jego Wojciech Tolibowski wstąpił w ślady poprzednika swego, pokrycie dachu dolnego miedzią przyspieszył, kościół cały zewnątrz i wewnątrz, co zbywało przyozdobił, nadto skarbiec kapituły darowizną wielu bogatych sprzętów pomnożył. Stał wspaniały ten kościół (zob. rycinę I.) *) nienadwerężony, owszem ozdabiany coraz przez gorliwych biskupów i kapitułę aż do roku 1725; w którym to czasie **) nadzwyczajna i okropna burza, wielką

**) Rysunek ten wykonany jest wiernie podług modelu znajdującego się w Kapitularzu Katedry poznańskiéj.

*) Zob. Przyjaciela ludu No. 2 str. 10.



Tum nowy w Poznaniu.

klęskę całemu zadając miastu, wieże zwaliła i dach miedziany zdarła. Szkodę tę naprawiła Piotra Tarły i Teodora Xięcia Czartoryskiego, biskupów ku swojéj oblubienicy miłość i hojne nakłady, oraz zwykłe Kapituły w takowych przypadkach przyłożenie się, a późniéj pobożnego Piotra Prażmowskiego Kanonika szczodrobliwość, który ostatnie zniszczenia szczątki, dwie kaplice (SS. Wojciecha i Jakóba) własnym kosztem miedzią pokrył.

Pożar wybuchły w roku 1772 obrócił w perzynę z takiém staraniem wystawioną świątynię. Szkody wyrządzone tak były znaczne, iż zaledwie w przeciągu lat 14, za pomocą wielkich z strony Andrzeja Młodziejowskiego i Antoniego Okęckiego, biskupów i Kapituły

nakładów, mogły być naprawione. Odtąd przybrała Katedra poznańska kształt, który dziś widzimy, różny nieco od wzniesionego ręką Szółdrskiego i następców jego kościoła, szczególniéj co do faciaty: i lubo późniejsi dobrodzieje nie mało się przyczynili do ozdobienia go, wewnątrz jednak, mianowicie w pobocznych kaplicach dawnych ozdób ślady po części zniknęły. Cały gmach obszerny, w nowym guście, przyjemne na widzu sprawia wrażenie.

W roku 1817 trzasł piorun w jednę z wież ze wschodniéj strony, i znaczne poczynił szkody; zapobieżono podobnym przypadkom przez zaprowadzenie konduktorów. Dostojne Ministeryum państwa, pozwoliło także (1826), aby od chrztów i ślubów ściągany był szczupły podatek od wiernych w obu Dyecezyach, na budowę i upiększenie katedr w Poznaniu i Gnieźnie. Corocznie więc znaczne wydaje Kapituła summy w celu ozdobienia świątyni i zaprowadzenia wzorowego we wszystkiém porządku. W naszych czasach szczególniéj przyczynił się do ozdoby Tumu w Poznaniu, Xiądz Kanonik Przyłuski, teraźniejszy Prałat gnieznieński; albowiem nietylko wydobył wiele pomników, starożytnych zabytków sztuk 15go i 16go wieku, i wydarł je zapomnieniu; ale nadto przyłożył się do upiększenia świątyni tak zewnętrznie jako i wewnętrznie. X. K

Kartusz, sławny rozbójnik.

Nawet i życie zbrodniarza, może być dla nas nauką. Aby zaś poznać występek w swéj istotnéj postaci, trzeba go śledzić w samych początkach; uważać, najprzód dziecko zepsute, chcące zawsze mieć swą wolą, które potem otrzasnąwszy się ze wszystkich więzów porządku, i podeptawszy śmiałą nogą najświętsze prawa, jedyne filary domowego i publicznego szczęścia, nakoniec najokropniejszéj ulega karze, zawsze trop w trop postępującéj za zbrodnią.

Ludwik Dominik Kartusz urodził się w Paryżu roku 1693: ojciec jego był bednarzem, i oddał go do szkół jezuickich, aby się tamże uczył języków starożytnych, stanowiących wtedy całe prawie publiczne wychowanie. Świetne talenta, któremi go hojnie obsypała natura, mogły mu do znaczenia i sławy utorować drogę; ale ich złe użycie uczyniło go tylko głośnym na drodze występku i zaprowadziło — na rusztowanie. Od najpierwszéj młodości okazywał Kartusz wielką skłonność do kradzieży, nie było prawie dnia, gdzieby matce swojéj nie ukradł kilka groszy na łakotki. Gdy późniéj do szkół chodzić zaczął, zmykał pióra i scyzorki swoim współuczniom: albowiem raz opanowany od téj namiętności, nadzwyczajne w niéj czynił postępy. Nie przestał na tych drobnostkach, a widząc, że mu szczęście sprzyja, odważył się na większe rzeczy. Jego nauczyciel miał wielkie do niego zaufanie, i pozwalał mu przychodzić do siebie. Pewnego razu zobaczył Kartusz u niego kilka luidorów, leżących na stoliku, i zaraz plan sobie w głowie ułożył, jakby ich dostać. Zaczyna rozmowę z Professorem o zadanym na wypracowanie liście, prosi go o pożyczenie książki z wzorami listowemi: nauczyciel idzie do swéj biblioteki, a on tymczasem chowa pieniądze do kieszeni. W tem zadzwoniono na obiad: po obiedzie spostrzegł dopiero professor, że pieniędzy nie ma; ale złodzieja odkryć niemógł, bo Kartusz zaparł się wszystkiego. Był wtedy z pewnym Hrabią, któremu w lekcyach pomagał, w jednéj klassie, i żył z nim w wielkiéj poufałości. Pewnego dnia młody Hrabia dostał od swego ojca sto talarów na imieniny; Kartusz zaraz myślał o sposobach przywłaszczenia sobie tych pieniędzy. Ledwo zaczęła się lekcya, prosi o pozwolenie wyjścia na dwór: w momencie był w pokoju Hrabiego: otwiera biórko wytrychem, a pieniądze już są w jego kieszeni. Ale ktoż sobie wystawi jego strach! w tym właśnie momencie słyszy stąpanie zbliżającego się nauczyciela młodego Hrabiego: ogląda się, o ucieczce ani myśleć: wchodzi więc z największym pospiechem na biórko, wciska się za koronę, któréj starożytne ozdoby zupełnie go zakryły. Po klassie przychodzi Hrabia, chcący swym współuczniom małą zabawę wyprawić, ale niestety! zamiast pieniędzy, próżny tylko znajduje worek. Powstaje rozruch: nauczycielowi przypominają się także jego luidory: każe więc stawać przed sobą swym uczniom: przychodzą wszyscy, Kartusza tylko brakuje: wołają, szukają, wszystko naprożno; bo złodziéj siedział uwięziony na biórku. Kilka godzin minęło: dzwonią na kolacyą: wchodzą uczniowie, Kartusz więc zejść nie może. Po wieczerzy taż sama obawa: cały wieczór mija. Dzwonią na spoczynek: teraz może uda mu się wymknąć! Już podnosi głowę wspiera się na łokciu, oglądając się na wszystkie strony: już spuścił jednę nogę, chce skoczyć i uciec, ale już było zapóżno: Hrabia z nau-

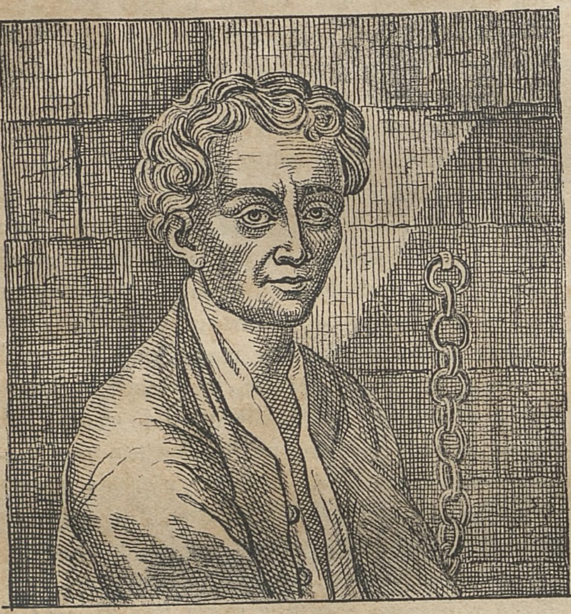
czycielem kładą się spać, a Kartnsz znowu noc całą w swem więzieniu przepędzić musi. Umiera prawie z głodu i udręczenia, siedząc skurczony na biórku, oddychać nawet nie śmie, aby nie był słyszany: w okropnem był położeniu. Nakoniec po dwudniowéj męce ujrzał się sam w pokoju; zeskakuje czemprędzéj, bierze odzież nauczyciela, i uchodzi bezpiecznie z klauzury.

Powraca do ojca, przed którym swym zwyczajem, kłamstwem się wywinąć usiłuje. Lecz stary pomiarkował, co się święci; wsadził go pod dużą beczkę, którą dla większego bezpieczeństwa, ciężkiemi kamieńmi przywalił. Tu małym nożem, który Kartusz zawsze przy sobie zwykł nosić, wyrzyna dziurę w beczce, zrzuca ręką kamienie, a potem prętem żelaznym podważywszy beczkę, wychodzi z więzienia, i już nie wraca do domu rodzicielskiego, lecz idzie do swojego stryja, mieszkającego w Rouen. Tutaj to dopiero ujrzał się na swobodzie: tu miał sposobność doświadczania swego talentu, i wkrótce zgromadził znaczną iłość zegarków, tabakierek, klejnotów i wielkie już w kradzieży uczynił postępy. Atoli stryj odkrył nakoniec jego łotrowstwa; musiał więc Kartusz opuścić Normandyą i znowu wrócił do Paryża. Ojciec zmartwiony postępowaniem niegodziwego syna, postanowił zamknąć go w szpitalu Śgo Łazarza. Aby dopiąć swego zamiaru, mile przyjął rozbójnika u siebie, a po trzech dniach bawienia rzekł do niego: muszę iść do klasztoru Śgo Łazarza, gdzie mam dostać robotę, czy nie chciałbyś mi towarzyszyć. Wprawny złodziéj, któremu łagodne obejście się ojca już było podejrzanem, domyślił się zaraz, co stary chciał z nim zrobić, i niebawem oddalił się z domu. Od tego czasu nigdy już nie wrócił do rodziców, lecz sobie utworzył bandę rozbójników, których był naczelnikiem, a razem, aby być bezpieczniejszym, policyi służył za szpiega. Jego przemysł i gorliwość zyskały mu wkrótce względy ministra d'Argenson. Pewnego razu sławny ten minister policyi kazał go zawołać do swego gabinetu i tak się do niego odzywa: „Wiem żeś obrotny, i to ci jedna moje zaufanie: idzie tu o mój honor, który ty swą przebiegłością ocalić możesz, za co bądź pewien méj wdzięczności.‟ Kartusz bardzo był ciekawy, co daléj usłyszy. „Jest tu w stolicy zuchwały rozbojnik, mówił daléj, którego schwytać nie mogę: wszędzie mówią o jego łotrowstwach, a ja ich poskromić nie jestem w stanie. Tego łotra Kartusza muszę koniecznie dostać: cała policya go śledzi, na jego głowę wielka nagroda wyznaczona . . . w tobie pokładam całą nadzieję.‟ Dreszcz go przeszedł, gdy usłyszał swoje nazwisko; ale na chwilę nie stracił przytomności, i tak umiał omamić ministra, że ten bynajmniéj nie wątpił o jego gorliwości. Nie długo jednak potem nie sądząc się być pewnym w stolicy, przeniósł się do Bruxelli, gdzie wynalazł nowy sposób kradzenia: Istotny złodziéj nie zatrzymywał nigdy rzeczy kradzionéj, lecz obowiązany był oddać ją zaraz drugiemu, a ten trzeciemu i czwartemu: tym sposobem trudniéj było odkryć kradzież, a złodzieje coraz śmielszymi będąc w swych przedsięwzięciach, powszechny wzbudzili postrach. W pewną niedzielę znajdował się Kartusz w kościele Śgo Ducha, i przeciskał się w czasie nabożeństwa do pewnego otyłego Jegomości, trzymającego w ręku złotą tabakierę. Właśnie w téj chwili, gdy xiądz lud błogasławił, ukradł Kartusz temu człowiekowi tabakierkę, i zaraz zręcznie swemu kolledze podsunął. Tymczasem ów pan postrzegłszy kradzież, złapał złodzieja za rękę i puścić jéj nie chciał. Kartusz obróciwszy się do niego z powagą zapytał: czego Pan żądasz? ja nie lubię, żeby mi obcy człowiek tak czule rękę ściskał. Łotrze! odpowie tamten, czy nie ukradłeś mi méj tabakierki? — Kto ja? jam tylko tabaki zażył; zapewne ją masz przy sobie, albo na ziemię upadła. Zbiegli się ludzie: Kartusz pokazuje próżne ręce, skarżąc się na wyrządzoną mu obelgę. Idzie do Zakrystyi, każe się rewidować: ale nic przy nim nie znaleziono. Teraz wszyscy powstali na owego Jegomości: Kartusz żąda wynagrodzenia za taką krzywdę: a ów pan musiał jeszcze przeprosić złodzieja i nagrodzić sowicie.

Z Bruxelli udał się Kartusz znowu do Paryża, gdzie swoję bandę na kompanie podzielił, i w każdym cyrkule miasta jednę umieścił. Nadto zakazał strzelać w mieście, a zabójstwa tylko w najgwałtowniejszéj potrzebie dozwalał. Że w téj mierze nie żartował, ztąd się przekonać można: jednego z rozbojników, nie mogącego poskromić swego okrucieństwa, i bez potrzeby popełniającego morderstwo, własną ręką zabił. Nadto Kartusz nieraz wspaniałomyślnym się nawet okazał: co zapewne było skutkiem jego wychowania. Biednych ludzi nie obdzierał, albo im wracał złupione rzeczy.

Tymczasem śledzenia policyi wprawiały go w coraz większą obawę: na powszechnem zgro-

madzeniu postanowiono zatem, rok jeden zostawać w nieczynności. Kartusz sam przedsiewziął kraj opuścić, i w podróży miał następujący przypadek. Przybywszy do Orleanu, dowiedział się,



K a r t u s z.

że pewna dama w Bar stratę syna swego opłakuje, który się był puścił okrętem do Ameryki. Natychmiast zasięgnął potrzebnych wiadomości i udał się do tego miasteczka, i tam najprzód ze starą guwernantką, która tego syna wychowała, zabiera znajomość. Ta niegodziwa kobieta dostawszy sto luidorów przyrzekła Kartuszowi wszelką pomoc. Każe się więc meldować téj pani, i z udaną czułością odzywa się do niéj: Matko! czy nie poznajesz twego syna! Guwernantka nauczona, co miała czynić, zaczyna go ściskać jako swego wychowańca okazując mu wszystkie znaki swego przywiązania: to uwiodło rozrzewnioną matkę: krótko mówiąc, tak dobrze odegrał tu swą rolą, że mu mniemana matka wyliczyła 80000 franków, aby sobie za to jaką posadę u dworu kupił. Z tym skarbem znowu Kartusz do Paryża się udał. Po roku rozpoczęto znowu dawniejsze łotrowstwa. Ale czujność policyi przymusiła go do opuszczenia Francyi: udał się więc do Anglii, lecz tamtejsze klima wcale mu nie sprzyjało: w kilka miesięcy powrócił zatem do Paryża; tymczasem Policya śledziła go bez przestanku, tak, że nawet na ulicy pokazać się nie śmiał. Pewnego razu wychodząc z opery, postrzegł za sobą szpiega: wchodzi więc do pewnéj kobiety, którą znał, i skrył się w komin. Niedługo nadeszła policya, ale przez omyłkę weszła na drugie piętro: Kartusz jak błyskawica wyskakuje czemprędzéj, a zarzuciwszy płaszcz na siebie, wybiega na ulicę: Przed domem zastaje dwóch żołnierzy, strzegących drzwi. „Czy już Kartusz złapany, zapytali się żołnierze, i zastępują mu drogę. — Jeszcze nie, odezwał się grzmiącym głosem, i obydwóch na raz dwiema krócicami trupem położywszy, wydobył się na wolność. Tą śmiałością nieraz życie swe ocalił: jednakże sprzykrzywszy sobie tę ustawiczną obawę i życie w ciągłéj ucieczce, postanowił usunąć się zupełnie. Sam wyznaczył swego następcę naczelnika 300 rabusiów, i to było jego zgubą. Niektórzy z nich, niekontenci, że ich ta godność minęła, wydali go sami w ręce sprawiedliwości. Znaleziono go w gościncu śpiącego, okuto w kajdany jak najmocniéj, i zaprowadzono do więzienia. Tu nie zadługo kajdanami swemi taką dziurę w murze wykuł, że się już miał uwolnić; ale szczekanie psa zdradziło jego ucieczkę. Zaprowadzony zatem do warowniejszéj klauzury, do śmierci w niéj siedział. Na torturę wzięty nie wydał żadnego ze swych wspólników, spodziewając się, że go uwolnią. Lecz gdy już był na rusztowaniu, wymienił wszystkich. Kołem bity zginął śmiercią zbrodniarza, okazując największą odwagę. W czasie swego processu, aż do stracenia, napisał sam historyą życia swego i miał sobie nawet następujący ułożyć nagrobek:

Życie nasze jest to koło:
Bawmy się wesoło!
Wczoraj kołem tłuczony,
Dziś na nim zawieszony.

Portret załączony, zrobion w więzieniu wkrótce przed jego straceniem.

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)